MAŁY POSŁANIEC

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego" Wychodzi co 2 tygodnie

Nr. 18. | Bydgoszcz, niedziela 5 września 1909. | Rok II.

Z jednego gniazda.

Pięć ziarn grochu leżało w jednym strąku. Wszystkie były zielone, więc zdawało im się, że cały świat powinien być zielony. To bardzo naturalne.

Strączek rósł, ziarna także; mieściły się w nim, jak mogły, ustawiwszy się w jednym szeregu.

Słońce świeciło i ogrzewało strączek, deszcz go obmywał. Stawał się też coraz większy i błyszczący, jasny w dzień, ciemny w nocy, jak wypada. Ziarna też stawały się z każdym dniem większe, poważniejsze i coraz bardziej zamyślone, bo nie miały nic innego do roboty.

— Czyż tu wiecznie siedzieć będziemy? — zapytało jedno na koniec. — Stwardniejemy od takiego ciągłego siedzenia. Tak dłużej być nie może..

Upływały jednak tygodnie, a nic się nie zmieniło, tylko ziarnka pożółkły i strączek był żółty.

— Cały świat będzie żółty — rzekło jedno i było to bardzo trafne spostrzeżenie.

Nagle uczuły jakieś gwałtowne wstrząśnienie: oderwano strączek od łodyżki, przez chwilę ręka ludzka ściskała go w zamkniętej dłoni, potem w towarzystwie wielu innych strączków znalazł się w ciemnej kieszeni.

— Zaraz nam otworzą — powiedziały ziarnka — i zgadły.

— Teraz zobaczymy, które z nas najdalej poleci w świat — odezwało się ziarnko najmniejsze. — Teraz się to okaże!

— Co się stać ma, to się stanie — rzekło drugie. — Bóg nad nami.

Trr! — strączek się otworzył i wszystkie pięć ziarnek ujrzały światło dzienne.

Leżały w ręku chłopca, który im się przypatrywał, a następnie oznajmił, że będą doskonałe do jego dukawki.

To mówiąc, wsypał je wszystkie od razu i wystrzelił.

— Lecę w świat! Doścignij mię, jeżeli możesz! — zawołało jedno ziarnko.

— Ja do słońca dolecę! To jest także strączek i właśnie taki, jakiego pragnąłem dla siebie.

— My spać pójdziemy — szepnęły dwa inne i potoczyły się na ziemię.

— Ja nie wiele potrzebuję — rzekło piąte i wzleciawszy w powietrze, upadło w szparę deski pod oknem poddasza, gdzie było trochę ziemi i mchu zielonego, który otulił gościa.

Więc leżało znowu w niewoli.

— Złe przemija — szepnęło.

W izdebce pod dachem mieszkała uboga kobieta, która zarabiała jako najemnica, więc wychodziła codziennie od rana, paliła ludziom w piecach, myła i sprzątała, gdyż była pracowitą i silną. W pokoiku zostawała jednak jej córeczka, dziecko wątłe i słabowite, a od roku tak słabe, że prawie nie podnosiło się z łóżka.

— Pójdzie za siostrą — smutnie powtarzała matka, która niedawno jeszcze miała dwoje dzieci, lecz Bóg jedno jej zabrał, może dla tego, aby ulżyć jej w ciężkiej pracy.

Chora dziewczynka sama w ubogiej izdebce przez cały dzień leżała, gdyż nie miała siły się podnieść. A matka musiała pracować.

Wiosenny ranek zaświtał na świecie wesoły i słoneczny, złociste promienie zajrzały na poddasze przez maleńkie szybki, jakby chciały zobaczyć, czy ludzie śpią jeszcze. Biedna kobieta właśnie wychodziła z domu.

— Mamo — rzekła dziewczynka — patrzno, co to do nas zagląda w okno takie jasne i zielone? Tam, przez najniższą szybę! O, wiatr niem porusza!

Były to małe, zielone listeczki, które wyrosły z ziarnka grochu, ukrytego pod mchem w szparze deski.

— Skąd ono się tu wzięło? — mówiła kobieta. — Będziesz miała za oknem teraz ogródek, który cię rozweseli nieraz i zabawi.

I przysunęła łóżko dziecka do okienka, aby lepiej widziało młodą, zieloną roślinkę, ciekawie zaglądającą przez szybę.

Potem wyszła na dzień cały.

Wieczorem dziewczynka wesoło ją powitała.

— Wiesz, mamo — rzekła — pewno wyzdrowieję wkrótce. Słońce tak ślicznie dzisiaj tu świeciło, tak nas ogrzewało troskliwie. Groszek mi w oczach wypuszcza listeczki, rozwija się i rośnie i ja tak samo czuję w sobie nowe siły i chyba niedługo już wstanę.

— Dałby Bóg — rzekła matka, ale temu nie wierzyła. Wetknęła jednak patyczek za

deskę, aby młoda roślinka, która tak wesoło myśli daje jej choremu dziecku, miała się o co oprzeć. Potem przywiązała cienkie sznureczki do ramy okienka, by miała po czem piąć swoją łodyżkę ta dobra pocieszycielka samotnicy.

Groszek rósł szybko, dziewczynka codziennie opowiadała o jego piękności, o nowych listkach.

— Doprawdy, zakwitnie! — zawołała pewnego ranka ucieszona kobieta, która już sama zaczynała wierzyć, że jej dziecko odzyska zdrowie.

Widziała, że od chwili, gdy groszek zajrzał przez małe okienko, chora ożywiła się ogromnie, a od kilku dni sama siadała na łóżku, ażeby lepiej widzieć maleńki ogródek z jednego ziarnka grochu!

W kilka dni później była niedziela, — pogoda. Dziewczynka wstała z łóżka i usiadła przy otwartem oknie na krzesełku, w ciepłych promieniech słońca, a jasne jej oczy z radością i pieszczotą patrzały na białe, śliczne kwiatki grochu.

Nakoniec wstała z krzesła, oparła się o ramę okna i całowała kwiaty i listeczki ukochanej rośliny. Była wtedy bardzo szczęśliwą.

— Bóg ją tu dla nas posiał — rzekła matka. — Chciał nam dać poznać, że o nas pamięta. I uśmiechnęła się także do kwiatka.

A co się stało z innymi groszkami?

Jeden upadł na dach i gołąb go połknął; jeden upadł na ścieżkę i został zdeptany, potem kury go zjadły; jeden potoczył się w krzaki, ciepło mu tam było pod suchymi liśćmi i wilgotno, więc namokł i wypuścił kiełek, żeby rosnąć, — tymczasem śnieg spadł i zmarniał biedaczek od chłodu. Ostatni wpadł do wody, napił się jej bardzo wiele i był niezmiernie dumny ze swojej wielkości, aż wreszcie pękł.

Żadne ziarnko się nie zmarnowało, gdyż nic się nie marnuje na tym świecie, każde przyniosło komuś choć mały pożytek, lecz groszek na poddaszu był zwiastunem szczęścia.

Władysław Warneńczyk.

Wiadomość o śmierci młodziutkiego króla Władysława nietylko w Polsce wzbudziła głęboką boleść, ale i w całej Europie wywołała rzewne współczucie.

Z podziwem i wzruszeniem mówi współczesny historyk: „podczas gdy inni monarchowie chrześciańscy, którzy tak samo, jak król Polski mieli obowiązek bronienia chrześciańskiej Europy od nawały Turków, obojętnie patrzyli na groźną burzę, podnoszącą się ze strony Turcyi i trawili czas na pijaństwie, na łowach i biesiadach, młody król Polski, dziecię wiekiem a męstwem mąż dojrzały idzie do ziemi tureckiej na twarde trudy żołnierskie, na ciężką walkę z pogaństwem — i nie zaznawszy roz-

wiary, w usługach chrześciaństwa".

Ucz się młodzieży polska od króla Władysława, że i w młodości można dzielnie służyć Ojczyźnie. Nie mówcie: jeszczem za młody, żeby okazywać w czynach miłość Ojczyzny — bo i młodzieniec i dziecko nawet może na swój sposób pełnić obowiązki narodowe.

Długo nie chciano w Polsce wierzyć, że król Władysław nie żyje, znalazł się nawet jakiś oszust, który głosił, że on jest królem Władysławem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SOKÓŁ.

Poczerniało niebo,
Poczerniało pole;
— A gdzie lecisz, odlatujesz,
Siwy mój Sokole?

Czy lecisz za góry,
Czy za morze sine,
Za tem słonkiem, za tem złotem,
W weselszą gościnę?

Weselszą gościnę
Znajdziesz sobie wszedzie
Lecz za cichą wioską naszą
Tęskno tobie będzie.

Co spojrzysz za siebie,
To serce zasmucisz,
Aż znów wiosną do nas
I do gniazda wrócisz.

Przebaczaj urazy.

Franuś i Józio szli do szkoły. Niebawem wyciągnął Józio zeszyt i pokazał go Franusiowi. Franuś przejrzał pismo i powiedział:

— Ej, Józiu, narobiłeś wiele błędów i nie pisałeś pięknie!

I chciał Józiowi wskazać błędy. Ale Józio był już rozgniewany, wydarł Franusiowi zeszyt z ręki i odepchnął go od siebie. Franuś nie popychał go wcale, szedł dalej spokojnie i rzekł do Józia:

— Poczekaj, powiem to panu nauczycielowi, że mnie popchnąłeś na drodze.

— To powiedz! — zawołał Józio.

Ale, gdy już byli niedaleko szkoły, przybliżył się Józio do Franusia i przemówił do niego cichym głosem:

— Franusiu! Nie wspominaj o tem panu nauczycielowi, że cię popchnąłem... Już tego nigdy nie uczynię... Widzę, że zbłądziłem... Franusiu! Czy słyszysz?

Franuś spojrzał na Józia i obaczył, że był zasmucony i wyciągnąwszy rękę, prosił o prze-

daszek. Franus podał mu także rękę i ściskając Józia, wyrzekł serdecznie:

— Już przebaczyłem i zapomniałem!

Ogniem i mieczem.

Powieść z lat dawnych

Henryka Sienkiewicza.

(Ciąg dalszy.)

Kozacy podkopywali się pod obóz i rozpoczęli regularne oblężenie, rachując na to, iż w zamku zabraknie żywności i że się wojsko znuży. W nocy 16 lipca uderzyli dwaj dzielni pułkownicy Hładki i Nebaba na kwatery książęce i ponieśli znów straszną klęskę.

* * *

Najstraszniejszy szturm przypuścił Chmielnicki 19 lipca. Prócz armat, ogniem zionących, toczyli ku okopowi kilkadziesiąt machin do wież podobnych — z mostami do przerzucania przez fosy i z działami, dymiącymi u szczytu.

— To hulaj horodyny! — wołano. — Nas to Chmielnicki będzie mełł na tych wiatrakach.

Poczęły bębny warczeć w ciemności. Bitwa zawrzała na całej długości okopu. Godzina upływała za godziną, szturm nie ustawał, bo straszliwe luki w szeregach kozackich zapełniał Chmielnicki nowemi siłami. Walczono tak ze sobą, jak rozhukane fale morskie z wyspą skalistą.

Nagle ziemia zatrzęsła się pod nogami wojowników, a całe niebo stanęło w silnym ogniu, jakoby Bóg nie mógł już patrzeć dłużej na te okropności ludzkie. Łoskot grzmotów zagłuszył wrzaski ludzkie i huki armat. Chwilami świat cały wyglądał jak jeden płomień, chwilami ślepło wszystko od ciemności i znów czerwone gzygzaki rożdzierały czarną oponę. Wicher uderzył raz i drugi — zerwał tysiące czapek, proporców, chorągwi i rozniósł je w mgnieniu oka po pobojowisku.

Niepamiętna burza rozszalała się nad miastem, zamkiem, okopami i taborem. Bitwa została przerwana; potoki deszczu zaczęły lać na ziemię. Po północy deszcz ustał. Przed chorągwią Skrzetuskiego ukazał się książę. Wypytawszy, czy ładownice nie zmokły, rozkazał pójść z wycieczką ku belnardom, czyli hulajgrodom, podsypać je prochem i zapalić.

Zagłoba iść musiał. bo się przedtem na wycieczkę napierał, a teraz książę kazał.

Szły dwa oddziały rycerzy po 350 ludzi, brodząc po pas w wodzie ku hulajgrodom. Jeden oddział wiódł „lew nad lwy“, pan starosta krasnotawski Marek Sobieski, a drugi pan Skrzetuski.

Wkrótce w ciemności rozległy się krzyki, szczęk żelaza, ale to tylko przez kwadrans, wygnieciono mołojców przy wałach, rycerstwo rzuciło się ku wieżom.

Podpalono beluardę. Gdy już szli z odwrotem, spostrzegł Skrzetuski, iż nie ma Longinusa, ni Wołodyjowskiego, musieli więc wrócić i spostrzegli obu walczących z kozakami. Rzucono się ku nim.

— Spasajteś! — rozległy się głosy.

Pierzchło wszystko, Longinus i mały rycerz wpadli w zbawczy szereg husarzy.

* * *

Obustronnie pracowano ciągle około wałów. Prace te przerywały wycieczki, małe szturmy, strzelanina. Wyzywano się, uspakajano, kłócono. Pan Zagłoba wychodził także na szermierkę, lecz tylko językową. Natrząsali się jedni z drugich.

Wieczorami, gdy Chmiel myślał, że znużenie powinno było obalić najwytrwalszych, cicho gotował szturmy, nieraz wesołe śpiewy odlatywały jego uszu. Wtedy myślał, że Jeremi jest doprawdy czarownikiem. Więc wściekał się i zrywał do boju i wylewał morze krwi, bo i to spostrzegł, że jego gwiazda przy gwieździe straszliwego kniazia blednąć zaczyna.

* * *

Jednej dżdżystej nocy Chmiel chciał zaskoczyć czujnych obrońców Zbaraża, lecz pan Michał na straży ze Skrzetuskim, Zagłobą, Longinusem zaraz usłyszał zbliżających się i dał znać księciu, a po kwadransie książę już na koniu wydawał oficerom rozkazy. Wszyscy byli w pogotowiu.

Czterej rycerze puścili się wzdłuż okopu i ostrzegali wszędzie czuwających żołnierzy. Czekali, dech utaiwszy. Napastnicy zaczęli spuszczać drabiny w fosę. Cisza. Longinus ścisnął bardziej „zerwikaptur“. Turcy wspinali się na wały. Na krawędzi wału pojawiły się trzy pary rąk. Potem rozległ się huk kilku tysięcy muszketów, zrobiło się widno jak w dzień. Nim światło zagasło, Longinus zamachnął się i ciął okropnie, aż powietrze zawyło. Trzy ciała wpadły w fosę, trzy głowy potoczyły się pod kolana klęczącego rycerza. Wówczas choć piekło zawrzało na ziemi, niebo otworzyło się nad Longinusem, skrzydła urosły mu u ramion, chóry anielskie rozśpiewały mu się w piersi i był jakoby w niebowzięty, i walczył jak we śnie a cięcia jego miecza były jakoby modlitwa dziękczyna.

* * *

Wojsko przysięgło sobie, że raczej padnie a nie podda się haniebnie. Ratować się było trzeba — tymczasem posiłki nie nadchodziły, żywność się wyczerpywała. Jedyne ocalenie było w tem, by się przez kozacki obóz do króla przedrzeć i dać o wszystkiem znać.

Pytano tylko kto się odważy na tak śmiałe niebezpieczne przedsięwzięcie?

— Ja się podejmę przekraść przez kozaków — rzekł pan Longinus.

Rycerze usłyszawszy te słowa, porwali się zdumieni z miejsc. Starosta krasnostawski zakrzyknął:

— Waćpan podjąłbyś się tego dokonać?
— Czy waść rozważył, co mówisz? — pytał Skrzetuski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Piosenki dla naszej dziatwy.

O gwiazdeczko...

O gwiazdeczko coś błyszczała,
Gdym ja ujrzał świat,
Czemuż to tak gwiazdko mała
Twój promyczek zbladł?

Czemuż mi już tak nie płoniesz,
Jak w dziecinnych dniach?
Gdym na matki igrał łonie
W malowanych snach.

Prędkoś, prędkoś żeglowała,
Po niebieskiem tle,
O gwiazdeczko moja mała,
Wiodłaś ty mnie źle.

Żartkoś biegła wśród niebiosów,
Jam też żywo żył,
I z żywota złotych kłosów.
Wcześniem wieniec zwił.

Znikły róże, zwiędły wieńce,
Pożółkł życia maj,
I zapały i rumieńce,
I tych złudzeń kraj.

Wszystko mi tu nad okołem
Łza pomroku ćmi,
Ach! bo blada nad mem czołem,
Ma gwiazdeczka tkwi.

O gwiazdeczko! dawne życie!
W tym promyczku wznieć.
I jak dawniej na błękicie,
Nad mem okiem świeć.

Niech me serce jeszcze zazna
Doli młodych lat,
Nim mnie ręka pchnie żelazna
Za słoneczny świat.

Świat srogi, świat przewrotny...

Swiat srogi, świat przewrotny,
Wszystko na opak idzie,
Kto nie wart pan stokrotny,
A człek poczciwy w biedzie.

Lecz rozum górę bierze,
Tem sobie życie chłodzę;
I ja porosnę w pierze —
Choć dziś bez bótów chodzę,

Im sroższy los nas nęka,
Tem mężniej stać nam trzeba
Kto podle przed nim klęka,
Ten nie wart względów nieba.

Mnie choć głód dojmuje,
Lecz duszy mej nie szkodzi, —
Spiewaniem boleść truję,
Wesołość troski mi słodzi.

Myśli znakomitych naszych mędrców i poetów

objaśnione dla użytku młodzieży.

„Rozkosz jest jako pszczoła: miodu trochę, a żądła i goryczy wiele“. Skarga.

Złotousty kaznodzieja, ksiądz Piotr Skarga, żyjący w siedemnastem stuleciu, w czasie kiedy na ojczyznę naszą zaczęły się walić rozliczne klęski, zapowiadające jej upadek, w pięknych kazaniach swoich wypowiadał oburzenie swoje na grzechy narodu, na zamiłowanie zbytku, chęć używania, na zaniedbanie języka ojczystego. Zdanie powyższe zawiera głęboką prawdę, że w każdej rozkoszy mieści się pewna część goryczy, której prędzej czy później skosztować trzeba.

Łamigłówka sylabowa.

Z następujących sylab ułożyć 18 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół, utworzą imię i przydomek króla polskiego.

Sylaby: an, so, wi, ku, bro, o, o, tur, ró, eu, łódź, wie, y, glia, sław, wa, ro, ra, cya, ża, sła, licz, ze, ka, sa, gar, ul, gar, pa, ser, y, ni, lew.

Znaczenie wyrazów:

1. Imię męskie.
2. Owad.
3. Król zwierząt.
4. Część świata.
5. Ptak nocny.
6. Miasto fabryczne.
7. Państwo fabryczne.
8. Rzeka w Polsce.
9. Ptak domowy.
10. Królowa kwiatów.
11. Przyrząd do mierzenia czasu.
12. Samogłoska.
13. Miejscowość, gdzie wydobywają sól.
14. Gatunek psa.
15. Mieszkanie pszczół.
16. Produkt z mleka.
17. Państwo w Azyi.
18. Samogłoska.

Rozwiązanie łamigłówki z ostatniego numeru „Małego Posłańca“

Kalafior
Armata
Sienkiewicz
Polska
Egipt
Rafael
Mekka
Ereb
Litr
Czoło
Haiti

Całość: Kasper, Melchior, Baltazar.

Drukiem i nakładem Jana Teski w Bydgoszczy. Redaktor odpowiedzialny Jan Szmańda w Bydgoszczy.